NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 21.000·— Mk. z przes. 24.900·—Mk. Półrocznie 48000·— Mk. Rocznie 96000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 2000 Marek.

Rok XX. Kraków, 30 czerwca 1923. Nr. 26.

Rumuńska para królewska w Polsce



J. K. M. Król Wielkiej Rumunii Ferdynand i Prezydent Rzeczypospolitej Wojciechowski w powozie przed dworcem głównym w Warszawie.



Rumuńska para królewska w Polsce: Prezydent Wojciechowski wita J. K. M. Królową Marję na dworcu. Obok J. K. M. Król Ferdynand w mundurze gen. armii Rumuńskiej

Królewska Para Rumuńska w Polsce.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekście).

W odpowiedzi na odwiedziny Naczelnika Rzeczypospolitej w Bukareszcie przybyła do Polski z rewizytą Królewska Para Rumuńska: J. K. M. Król Ferdynand i J. K. M. Królowa Marya. Jestto pierwsza wizyta złożona odrodzonej Polsce przez Suwerennego Reprezentanta obcego mocarstwa. Po oficyalnem uznaniu naszej niepodległości i po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych jest to następny okres wchodzenia Polski jako równoprawnego czynnika w rodzinę mocarstw świata. Naczelnik jako przedstawiciel Polski złożył już dwie wizyty: w Bukareszcie i w Paryżu. Oczekiwać należy, że prezydent Wojciechowski w wykonaniu swego urzędu złoży wizyty w Brukseli, Londynie i Rzymie. Tam bowiem winna Polska w myśl ceremoniału dyplomatycznego pierwsze złożyć wizyty przez swego prezydenta. Inna jest sytuacya — jeśli chodzi o bliższe, sąsiednie nam Państwowe. Pozostawiając na boku Moskwę i Berlin, gdzie wizyty obecnie byłyby nie na czasie, mamy prawo wymagać by prezydenci Finlandyi, Estonii i Łotwy pierwsi do nas z wizytą przybyli, jako państwa młodsze do starszego — to samo dotyczy Czechosłowacyi, której data odrodzenia państwowego późniejsza jest od naszego. Nie pojedziemy pierwsi do Pragi — to pewne, a że stosunki z Czechami — nie z naszej winy — nie są zbyt miłe — więc nie potrzebujmy zbytnio o tej wizycie też myśleć.

Wizyta rumuńska jest jednak wizytą o nietylko etykietalnym, ale i serdecznym charakterze. Obok Francyi jest to nasz najbliższy i najwierniejszy sprzymierzeniec i przyjaciel. Wiąże nas bowiem wiele wspólnych nici. W dalekiej przeszłości nad Polską i Rumunią ciążyła zarówno groza wojowniczego półksiężyca. W czasie ostatniej wojny oba kraje poznały ciężar pruskiej okupacyi, wysysającej wszystkie soki żywotne i rabującej kraj ze wszystkich bogactw. Po wojnie światowej Polska i Rumunia stanęły wobec wspólnego niebezpieczeństwa imperyalizmu sowieckiego, który pragnie odebrać Rumunom Bessarabię, a przeciw Polsce — pomimo podpisania traktatu — knuje i wichrzy na kresach wschodnich. Wspólne tu więc mamy niebezpieczeństwo — tymbardziej wspólne — że granica rumuńsko-sowiecka jest bezpośrednim przedłużeniem naszej granicy z Sowietami.

Jest jeszcze jedna więź łącząca nas z Rumunią — więź kultury łacińskiej, której Polska i Rumunia są najdalej na wschód wysuniętemi bastyonami.

To też w J. K. M. Królewskiej Parze Rumuńskiej wita Rzeczpospolita Polska nie tylko sprzymierzeńców, ale i przyjaciół, nie tylko tych, na których się liczy, ale i tych, którym się serce daje.

Wyrazem tego dobitnym były przemówienia prezydenta Wojciechowskiego i J. K. M. Króla Ferdynanda w Warszawie. Przemówienie prezydenta Wojciechowskiego brzmiało następująco:

Szczęśliwy jestem, że mogę powitać Waszą Królewską Mość i Jej Król. Mość Królowę, przybyłych w odwiedziny do stolicy Polski. Pragnę równocześnie wyrazić uczucia przyjaźni, jakie cały naród polski żywi dla sławetnego ich kraju. Uczucia te ujawniły się w szczerym i odruchowym hołdzie zgotowanym przez ludność Warszawy Waszej Królewskiej Mości. Węzły łączące Polskę i Rumunię nie polegają wyłącznie na głębokiej przyjaźni



Królewska Para Rumuńska w Polsce: J. K. M. król Ferdynand i J. K. M. królowa Marya.

między obu sprzymierzonemi narodami, ale wytworzone są również przez ścisłą wspólność dążeń i interesów, które wyłączają wszelkie różnice zapatrywań i wskazują obu naszym krajom drogę mającą poprowadzić jej do urzeczywistnienia wspólnego ideału. Sojusz polsko-rumuński tworzy trwałą podstawę współpracy mającej na celu utrzymanie pokoju okupionego tak ciężko ofiarami i pomoże zrealizować z istniejących traktatów wypływające korzyści, oraz wskazane przez nich szczytne posłannictwo. Wznoszę mój kielich na szczęście Jego Król. Mości Króla Ferdynanda I. i Jej Królewskiej Mości Królowej Maryi i Ich Dostojnego Domu, oraz na pomyślność i wolność Rumunii.

W odpowiedzi na toast wzniesiony przez Pana Prezydenta, Jego Królewska Mość Król Ferdynand wygłosił w języku francuskim nasiępujące przemówienie:

Panie Prezydencie! Jestem szczęśliwy, że mogę w imieniu mojem i w imieniu Królowej, oraz w imieniu całego mego narodu uczucia szczerej i głębokiej przyjaźni, która nas łączy ze szlachetnym narodem polskim. Oba nasze narody przebyły w swej bohaterskiej przeszłości tragiczne próby zakończone ostatecznie tryumfem, gdyż sprawa ich była sprawą cywilizacyi, wolności i sprawiedliwości, dziś po olbrzymiej zawierusze wojny światowej, z ktorej wyszły zwycięsko, mają tę samą misyę do spełnienia — utrwalić na zawsze pokój i ułatwić Europie podjęcie na nowo i rozwinięcie jej dzieła postępu i cywilizacyi.

Oparty na uczuciach obu narodów oraz na ich stałych interesach sojusz nasz odpowiada tej wielkiej i potężnej konieczności Europy. Uciążliwa praca jaką w ten sposób jesteśmy obarczeni wymaga bezpieczeństwa do którego utrwalenia przyczynią się w wielkim stopniu manifestowania naszego sojuszu. Dlatego skorzystałem skwapliwie z danej mnie okazyi, żeby przybyć tu i wyrazić Panu — Panie Prezydencie — na ziemi polskiej odrodzonej niezmienioną przyjaźń narodu rumuńskiego jak również gorące życzenia pomyślności dla sławnego narodu polskiego. Głęboko wzruszony tak sympatycznem przyjęciem jaki naród polski zgotował nam w ciągu całej drogi oraz przyjęciem w stolicy, pragniemy usilnie wraz z królową podziękować z całego serca za pośrednictwem Pana i oto w imieniu tych uczuć wznoszę kielich na rzecz wielkości Polski naszej przyjaciółki i sojuszniczki, oraz za Pana zdrowie Panie Prezydencie, jak również za zdrowie Pani Wojciechowskiej.



Rumuńska para Królewska w Polsce: Król Ferdynand, królowa Marja i prezydent Wojciechowski w loży na polu Mokotowskim podczas wielkiej rewii wojskowej. W głębi loży minister spraw wojskowych gen. Szeptycki i marsz. Piłsudski



Z Zagłębia Ruhry: Gromadka Niemców, przyglądająca się z zainteresowaniem defiladzie batalionu francuskich wojsk okupacyjnych w Dortmund.

W Zagłębiu Ruhry.

Wszystkie wiadomości niemieckie starają się przedstawić obecny stan w Zagłębiu Ruhry jako prawdziwe piekło. Czytającemu te wieści wydaje się, że tam nikt z mieszkańców nie ośmiela się opuszczać progów mieszkania, aby nie spotkać się z kulą dzikich murzynów francuskich.

Jak dalece wiadomości te są kłamliwe wskazuje zamieszczona fotografia: Gromada Niemców dorosłych i dzieciaków, o bynajmniej nie wystraszonych fizyognomiach, lecz o wyraźnie gapioskim wyrazie twarzy przypatruje się defiladzie wojskowej okupacyjnego batalionu francuskiego. Przed nimi stoi utrzymujący porządek żołnierz francuski, zwykły, spokojny, młody chłopak, o wcale niekrwiożerczym wyrazie twarzy i gieście. — Przytem nie murzyn żaden — ale zwykły biały Francuz. Tak prawdziwe są wieści niemieckie.

Olbrzymi wybuch Etny.

Sycylia została znów dotknięta staszną katastrofą. Nieczynny od r. 1883 wulkan Etna — zbudził się znów i dał znak życia strasziiwym wybuchem.

Z otworów znajdujących się na stokach trysnęły obfite źródła płonącej lawy. Grozę katastrofy zwiększa fakt, że zbocza Etny oddawna były zabudowane. Znajdowało się tam kilkanaście miasteczek i wiosek, które teraz zalane zostały przez ognisty potop.

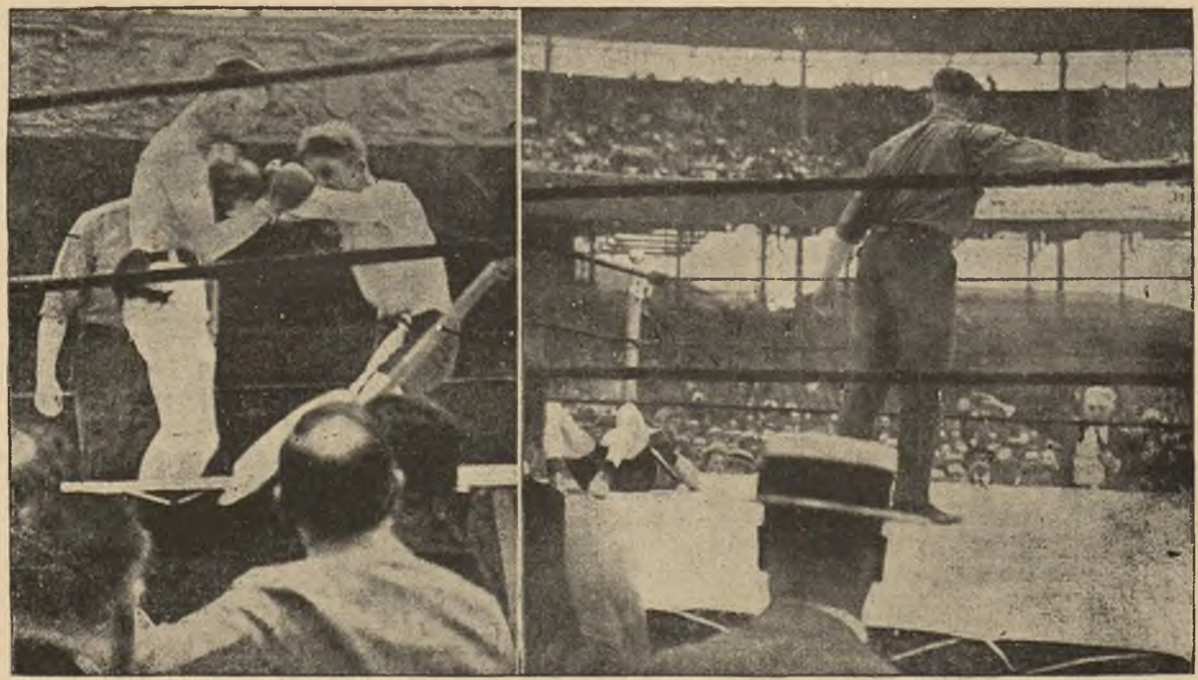
Dzienniki włoskie tak opisują ów grozą przejmujący wybuch Etny: Lawa, która wybuchła z tego wulkanu podobna jest do rwącego strumienia o ciemnym tonie, z którego wydobywają się jasne błyski. Rozlewa się ona po zboczach z szybkością 20—30 m. na godzinę i toczy się z metalicznym szmerem naprzód. Pod wpływem olbrzymiego gorąca lawy drzewa skręcają się i płoną i prawie natychmiast ulegają zwęgleniu, zanim zostaną dosięgnięte przez lawę. W ten sposób zginęły już całe lasy i winnice. Domy walą się pod straszliwym naciskiem mas lawy, jak domki z kart. Strumień odpływający w północnym kierunku ma kilometr szerokości. Na razie omija on Linguaglossa. Drugi strumień posunął się w kierunku Lavinaro. Płynie on powoli i łożysko jego oddalone jest od domów o półtrzecia kilometra. Deszcz popiołów pada, a wybuchy nie ustają.

Jeden ze sprawozdawców pisze, że kto własnemi oczami nie oglądał wybuchu wielkiego wulkanu, to niema pojęcia o potędze i majestacie tego rodzaju wydarzenia. Widział on, jak farma za farmą, jak wspaniałe winnice i dobrze uprawione pola ogarniał kolosalny wąż płomienisty, a dokonywało się to z pewnym rytmem, gdyż lawa nie płynęła bez przerwy, lecz co 10 sekund posuwała się naprzód o parę metrów. To, co zostało przez lawę zalane, pogrzebane zostało na wieki, gdyż skamieniała lawa należy do najtwardszych materyałów. Jest coś niewymownie fascynującego w tym widoku rzeki śmierci, pełniącej dzieło zniszczenia z niepojętą energią.

Według ostatnich wiadomości z Messyny po zachodniej stronie krateru powstał nowy otwór, z którego wybuchają wielkie masy płonącej lawy, zagrażającej dolinie Pisciano. W Lavinaro lawa dosięgła już wsi. Linguaglossa jeszcze jest bezpieczna i spodziewają się, że oba wygaśnięte wulkany w Donna Franzesca także nadal pozostaną bezczynne. Teraz już można ocenić wielkość krateru na południowo-wschodnim stoku, gdzie strumień lawy ma szerokości 5 do 8 mil angielskich. Rozlewa się on poprzez winnice w Mentonone i Piandelfilici, płynąc w kierunku Giarre. Nieco niżej dwa inne otwory krateru wyrzucają płonącą lawę na podobieństwo fontanny. Z innych miejsc buchają wysoko płomienie. W promieniu dwóch kilometrów żar bijący z lawy jest nie do wytrzymania. Tu i ówdzie słychać gwałtowne eksplozye, spowodowane załamywaniem się skorupy ziemskiej pod ciężarem płonącego strumienia. Ponadtem wszystkiem unoszą się gęste kłęby białego dymu. Smutne procesye uciekających chłopów, nie wiedzących dokąd się udać, nie dadzą się opisać. Na małych sycylijskich osiołkach ratują oni resztki swojej skromnej skromnej chudoby i tępym wzrokiem spoglądają na cudzoziemców, którzy przybywają, aby się przyjrzeć obrazowi katastrofy.



Olbrzymi wybuch Etny: Miasto Taormina na Sycylii z dymiącą i zionącą ogniem Etną w głębi.



Senzacyjnr match bokserski w New Yorku: 1) Criqui przygotowuje w 4 starciu swój cios, którym po raz 1-szy obalił Kilbane'a. 2) Criqui po zadaniu decydującego ciosu, oczekuje, czy Kilbane (leżący na wznak) nie dźwignie się przed upływem 10 sekund.

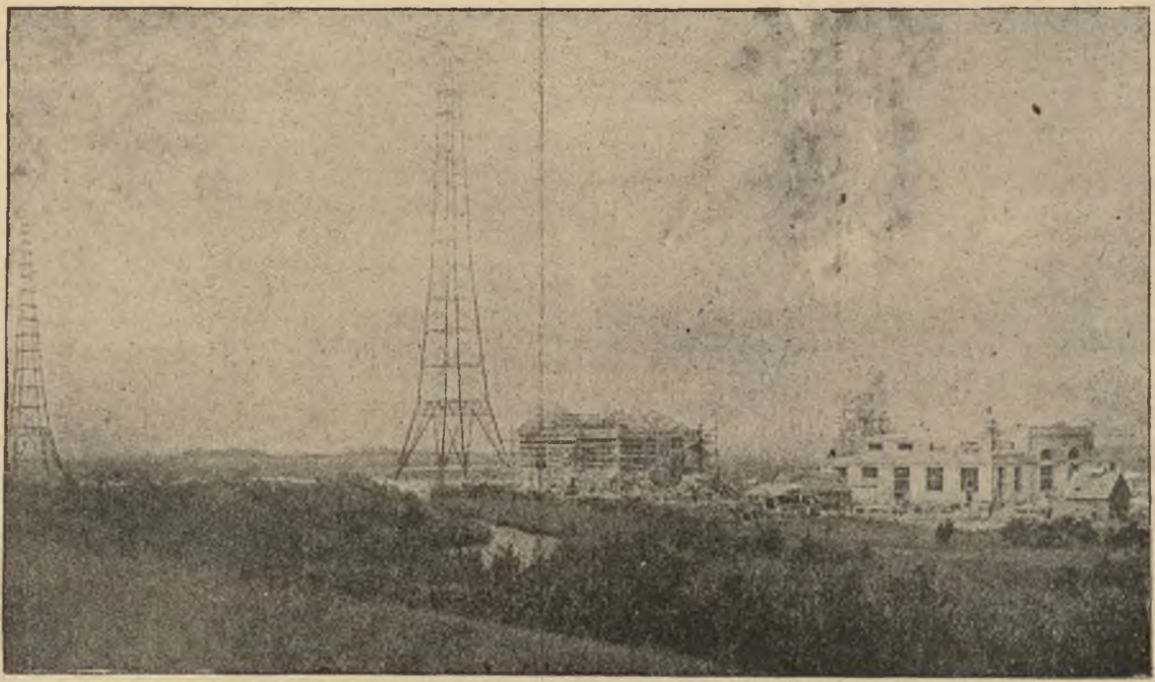
Radio Polska-Ameryka.

W sierpniu bieżącego roku ukończona zostanie przez Ministerstwo Pocztt i Telegrafów budowa instalacyi radiotelegraficznej, jedynej w Polsce pod względem rozmiarów i jednej z większych instytucyi tego rodzaju w świecie, zdolnej do bezpośredniego przesyłania depesz przez Ocean — aż na drugą półkule. Cała instytucya będzie składała się z 3 jednostek, położonych w różnych miejscowościach, lecz organicznie stanowiących jedną całość. Dwie z nich, a mianowicie stacya nadawcza, służąca do wysyłania telegramów, i stacya odbiorcza, przeznaczona do odbierania telegramów, nadawanych przez inne stacye radiotelegraficzne, położone są poza Warszawą i będą stanowiły właściwą stacyę radiotelegraficzną nadawczo-odbiorczą. Obie one będą połączone zapomocą drutów z centralnem Biurem operacyjnem, które będzie się mieściło w gmachu Państwowego Telegrafu w Warszawie i będzie odgrywało rolę mózgu, rządzącego wymienionemi jednostkami.

Nadawcza stacya buduje się pod Warszawą około fortu II A, w odległości trzech kilometrów od osady Babice. W ciągu ubiegłego lata i zimy (roboty nie były przerywane nawet w czasie mrozów) na równinie, złożonej z wydm i błot, na przestrzeni około trzech i pół kilometrów wyrósł szereg olbrzymów — 10 wież żelaznych samostojących o wysokości 126 metrów, rozstawionych rzędem w odległości 384 metrów jedna od drugiej. Wieże będą służyły do podtrzymywania zawieszonych pomiędzy niemi 16 drutów anteny, w których odpowiednie maszyny i aparaty będą wzbudzać prądy i napięcia wysokiej częstotliwości.

Maszyny i aparaty do wzbudzania w antenie prądów i napięć wysokiej częstotliwości znajdują się w jednym z dwóch nowowybudowanych budynków, w tak zwanym budynku radionadawczym.

Energii do zasilania generatorów wysokiej częstotliwości i pomocniczych urządzeń dostarcza elektrownia, mieszcząca się w drugim budynku Elektrownia dostarczać będzie również w razie potrzeby energii do transformatorów, urządzenia do stapania lodu z drutów anten wówczas, gdy osiadanie na drutach lodu lub szronu mogłoby grozić ich zerwaniem. Na całym terenie stacyi zo-



Radio Polska-Ameryka: Widok ogólny centrali radiotelegraficznej.

stał zakopany w ziemi system drutów miedzianych, mających na celu zmniejszenie oporu ziemi dla prądów wysokiej częstotliwości. Budynki i wieże stacyi nadawczej zostały już prawie ukończone, montaż maszyn i aparatów również dobiega ku końcowi.

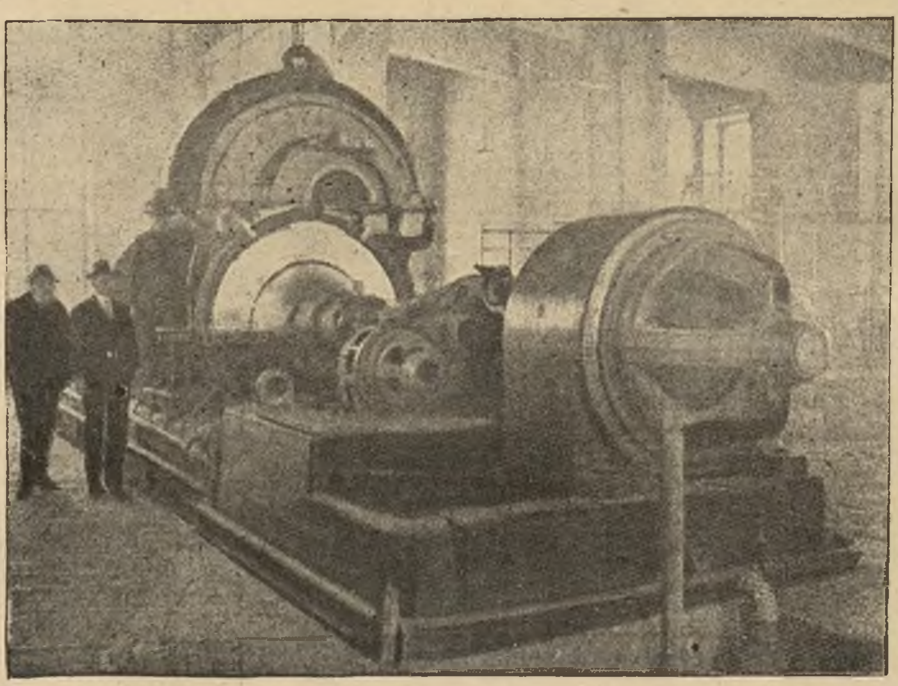
Odbiorcza stacya radjotelegraficzna została już ukończona i znajduje się w Grodzisku, w odległości około 25 kilometrów od stacyi nadawczej. Odbierane przez odbiorcze aparaty sygnały i telegramy będą bezpośrednio po drutach przekazywane do Centralnego Biura Operacyjnego i tam odbierane przez aparat do automatycznego odbioru względnie przez telegrafistę, słuchowo.

Centralne Biuro Operacyjne, jednoczące działanie obu stacyj: nadawczej i odbiorczej i umożliwiające jednoczesną ich pracę, będzie mieściło się w Warszawie w odległości 12 kilometrów od stacyi nadawczej i 31 kilometrów od stacyi odbiorczej. Tam więc telegrafista, naciskając klucz, będzie uruchamiał aparaty nadawczej stacyi i wysyłał sygnał do Ameryki: tamże jego sąsiad będzie otrzymywał na taśmie lub w słuchawce telefonicznej sygnały wysyłane przez amerykańskie stacye i odbierane przez odbiorcze aparaty w Grodzisku. Automatyczne nadawanie i odbieranie odbywać się będzie z szybkością około 400 liter na minutę.

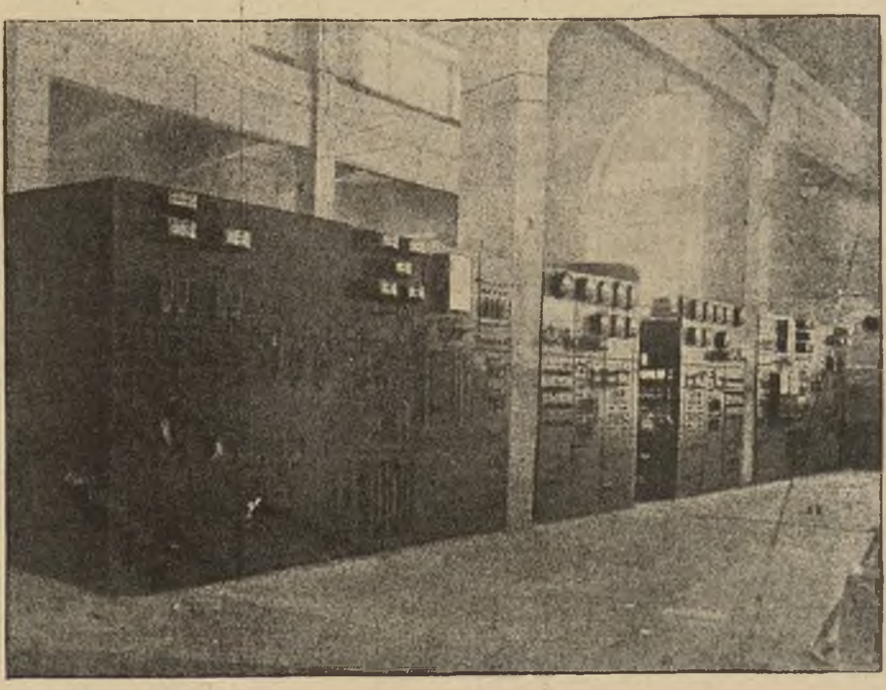
Budowa domu Akademickiego
w Warszawie.

Bratnia Pomoc słuchaczy szkół Akademickich w Warszawie prowadzi budowę własnego domu. Słuchacze i słuchaczki w chwilach wolnych od studyów stają do ciężkiej pracy, imają się łopaty i siekiery i kopią robią wespół z robotnikami, przyczyniając się do wzniesienia własnego dachu nad głową.

Budową tego domu tego zainteresował się minister oświaty Głąbiński i przybył zwiedzić miejsce budowy. Towarzyszyli mu: rektor Uniwesytetu Warszawskiego prof. Koschembatr-Łyskowski, b. rektor politechniki i b. wiceminister oświaty pan Ponikowski, oraz przedstawiciele Sejmu i prasy.



Radio Polska-Ameryka: Centrala Transatlantycka. Maszyny wysokiej częstotliwości.



Radio Polska-Ameryka: Tablice rozdzielcze Centrali Transatlantyckiej.

Wina i pokuta

5) (Z angielskiego).

— Doprawdy, nie pamiętam. Nie patrzyłam na zegarek.

— Ale tak mniej więcej?

— W każdym razie było już po jedenastej.

— Zgadza się zatem. Śmierć według orzeczenia lekarskiego nastąpiła pomiędzy godziną jedenastą a dwunastą w nocy. I jeszcze jedno... Czy pani niewiadomo, kto załatwiał sprawy finansowe pana Macmorrisa?

Alicya wymieniła pierwszorzędny dom bankowy w stolicy.

— Ach! tak... Dziękuję bardzo i nie będę już pani więcej nudził. Dowidzenia, moje uszanowanie.

— Żegnam pana.

Komisarz wyszedł z mieszkania Alicyi Belmore srodze zadziwiony.

— Ta kobieta jednak coś ukrywa... Zapewne to coś odnosi się do jej osobistych stosunków z zamordowanym... Przecież kochali się. Nie wypada zbyt nastawać na nią. Ano, zobaczymy. Przedewszystkiem trzeba znaleźć te zrabowane banknoty.

ROZDZIAŁ VII.

Brat czy morderca?

Katty wpadła do pokoju rozpromieniona.

— John!... proszę wielmożnej pani... John!...

Alicya, która piła właśnie herbatę, podniosła zdziwione oczy na swoją pokojówkę.

— Co się stało, Katty?

John będzie wypuszczony na wolność!... Muszą go teraz wypuścić!...

Nadmiernie blada i smutna twarz artystki rozjaśniła się:

— Widzisz? nie mówiłam ci?... Nie mogli mu niczego udowodnić?

— Naturalnie, ale przedewszystkiem chodzi o to, że złapali innego.

Chwilowe rozjaśnienie ustąpiło miejsca ponuremu cieniowi na pięknych licach artystki.

— Innego?

Pokojówka potrząsnęła tryumfująco w powietrzu płachtą gazety.

— O! tutaj jest wyraźnie napisane!... Czarne na białem!... „Omyłka naszej policyi kryminalnej".

Alicya niemal, że wyrwała jej gazetę z ręki i płonącemi oczyma przebiegała artykuł:

„Sprawa zamordowania wielokrotnego milionera Macmorrisa przyjmuje niespodziewany zgoła obrót.

Policyi udało się ująć indywiduum, w którego posiadaniu znajdowały się banknoty, zrabowane zamordowanemu. Wobec tego aresztowany pierwotnie lokaj John Kidd zostanie najprawdopodobniej wypuszczony na wolność.

Przypadek zaiste osobliwy naprowadził policyę na trop zbrodniarza. Do kancelaryi „Królewskiego Teatru" zgłosiło się jakieś indiwiduum, które w tonie zabawnego patosu żądało zaangażowania do ról bohaterskich. Kiedy mu odpowiedziano krótko, że „Teatr Królewski" „korzystać" z jego usług nie może — podpity aktorzyna zaczął ryczeć monolog z Hamleta, a wkońcu nagadał dyrektorom grubiańskich impertynencyi. Woźni musieli go przemocą wyrzucić za drzwi.

Dopiero, gdy owe indywiduum, klnąc i gestykulując zniknęło w przecznicy — znaleziono w kancelaryi stary, podarty, zatłuszczony portfel.. Ale nędzny ten portfel był grubo wypchany banknotami, a bliższe zbadanie ich wykazało, że są to te same banknoty, które pan Robert Macmorris podjął onegdaj w banku. Kwotę zrabowaną znaleziono prawie w całości, morderca nie zdążył jeszcze zbyt wiele wydać.

Najwidoczniej tłomaczenie Johna Kidda, który swoje ślady usprawiedliwiał chęcią zrywania kwiatów w cudzym ogrodzie — polegało na prawdzie. Przypuszczalnie Kidd w tej chwili znajduje się na wolności".

Pierś Alicyi podniosła się jakby głębokiem westchnieniem ulgi. Katty zrozumiała, że jej pani cieszy się szczerze uwolnieniem Johna i odczuwa radosne z tego powodu wzruszenie.

— Jaka pani dobra, że się pani tak mojemi sprawami przejmuje!...

— Mają więc ślad, ale nie mają sprawcy...— rzekła Alicya.

— Owszem, owszem — już go złapali!... Niech wielmożna pani czyta dalej. Tam na 10-ej stronie w rubryce „Z ostatniej chwili".

Ręka artystki lekko drżała, kiedy przewracała kartki dziennika. Oczy jej padły na następującą notatkę:

„Dzięki energii naszej policyi udało się wczoraj późno w nocy ująć bezrobotnego aktora prowincyonalnego, podejrzanego o morderstwo.

Znaleziono go w jednym z przedmiejskich szynków tak śmiertelnie pijanego, że nie zdawał sobie nawet sprawy z faktu zgubienia portfelu. Sądząc, że ma przy sobie krocie pił na umor, zaciągając w szynku spory dług.

Nie rozumiał też, czego policya chce od niego. W stanie bezprzytomnym przewieziono go do więzienia śledczego. Skoro się tylko wytrzeźwi — zostanie przesłuchany".

— — — — — — — — — — — — — — — —

W tym samym czasie doktór Larnings i adwokat Thompson spotkali się przed gmachem sądowym.

— Cóż? ciągle jeszcze pełen tęsknoty? — uśmiechnął się lekarz.

— Niestety — miss Molly nie wróciła jeszcze. Łatwiej się jednak znosi rozłączenie, jeżeli przyświeca znowu nadzieja!?...

— Cóż to podnieca płomień twych nadziei?

— Pytasz jeszcze?! Co prawda nie ładnie cieszyć się z powodu czyjejś śmierci.

— Czy to ten biedny Macmorris tak ci się w porę usunął?

— O tyle, że szanse brata Molly znowu się polepszyły.

— Hm.. to niewiadomo... Jeżeli miss Belmore istotnie kochała tamtego, to może nie zapomni go tak prędko i nie zechce szukać pociechy w objęciach jego rywala...

— Tak, jeśli go kochała... — szepnął Thompson trochę zmieszany — ale mnie się zdaje, że ona go chciała poślubić tylko dla tego kolosalnego majątku...

— Który go życie kosztował. — To już zaiste lepiej żadnych ziemskich skarbów nie posiadać. Ktoby to mógł przypuścić, co się stanie, kiedyśmy przed kilku dniami „Pod zielonym dębem" o Macmorrisie rozmawiali.. Zaledwie zdołałem wówczas po naszem rozstaniu przedrzemać się godzinę, kiedy już mnie zbudzono, abym szedł skonstatować śmierć... W pierwszej chwili wierzyć nie chciałem!

— Cała ta sprawa jest dotychczas okryta mrokiem tajemnicy. Czy wiesz, że policya wpadła na nowy ślad?

— Coś o tem słyszałem, ale tak byłem od rana zajęty, że nawet nie miałem jeszcze czasu gazet przeczytać...

— Wyobraź sobie, że i ja nie czytałem A teraz muszę spieszyć na rozprawę bronić klienta, któremu „nastąpiono" na honor... Skoro się tylko załatwię z tem — pobiegnę pod „złotą kaczkę" na poranne dzienniki... Może i ty tam wstąpisz na szklaneczkę grogu?

— O ile tylko moi pacyenci trochę czasu mi zostawią — chętnie.

Pożegnali się silnym uściskiem dłoni a Thompson, trzymając pod pachą czarną skórzaną tekę, pobiegł na górę po kamiennych schodach.

W długim kurytarzu, prowadzącym do biura sędziego śledczego zatrzymał się przez chwilę. Skąd on, u licha — zna tą zabawną postać z kudłatą głową, z dużemi, czerwonemi rękami, stąpającą sztywnie i pretensyonalnie niby na szczudłach.

— Cóż to za cudaczny aresztant? — zapytał.

— To przypuszczalny morderca Roberta Macmorrisa. Powiada, że jest aktorem i że się nazywa Ryszard Cumd.

— Ryszard Cumd! — przemknęło adwokatowi przez głowę — ale to chyba ów pijak z pod „Zielonego dęba", który tak dumnie rzucał banknotami!... Więc takie było pochodzenie jego majątku!...

W minutę później Ryszard Cumd skłonił przed sędzią śledczym głowę — najdziwniejszym gestem, jaki w swym repertuarze posiadał.

— Panie, tutaj nie teatr!... komedyi nie gramy!... — rzucił ostro sędzia Ridder — sprawa jest zbyt poważna... Chodzi tu o pańskie życie.

Aktor, który przez noc wytrzeźwiał, przestraszył się. Jego blada zblazowana twarz hulaki i pijaka przybrała odcień jeszcze bardziej ziemisty.

— Pan sędzia żartuje sobie...

— Nie żartuję bynajmniej. Pańskie nazwisko?

— Ryszard Cumd.

Nazwisko to wypowiedziane zostało z akcentem najwyższej dumy.

— Zawód?

— Artysta dramatyczny.

Znowu trudny do naśladowania akcent samopoczucia własnej wielkości.

— Nazwisko, które pan wymienił — to zapewne tylko teatralny pseudonim? A prawdziwe pańskie nazwisko?

— Poprzysiągłem zataić je!

— Radzę panu w pańskim własnym interesie mówić całą prawdę Idyotyczne wybiegi nic tutaj nie pomogą. Pozostaje pan pod silnem podejrzeniem, że zamordował pan Roberta Macmorrisona dla celów rabunkowych!..

Aktor dopiero teraz zrozumiał. Kolana zadrżały i ugięły się pod nim, oczy zdawały się formalnie występować z orbit. Śmiertelnie blady wyjąkał:

— Ja!... ja miałbym zamordować mego brata — jak Kain Abla!... Panie sędzio, Ryszard Cumd - to lekkomyślny chłopak tak jak wszyscy, wielcy artyści, ale podejrzywać mnie o coś podobnego!.. Panie sędzio!... niech pan cofnie te słowa albo — dokończył znowu teatralno patetycznym tonem — zaskarżę pana o obrazę honoru!..

Ridder był tak zdumiony odezwaniem się aktora, że nawet zapomniał zwrócić mu uwagę na niestosowność ostatnich słów.

— Jakto pan miałby być bratem zamordowanego? Jakże brzmi pańskie nazwisko.

Cumd zdawał się toczyć ze sobą samym walkę wewnętrzną:

— Każdy wielki artysta jest człowiekiem honoru — oświadczył wreszcie — ale w takim wypadku dyskrecya przestaje obowiązywać... Zresztą ja poprzysiągłem żywemu nie zaś nieboszczykowi...

— Bez niepotrzebnej gadaniny!... Pańskie nazwisko?

— Tomasz Tritt. Nazwisko za nędzne, za pospolite dla geniusza!...

— Ale to nazwisko nie świadczy o pokrewieństwie. Nie był pan więc rodzonym bratem zamordowanego?

— Jestem synem jego ojca, panie sędzio!

— Nieślubnem dzieckiem zatem?

Aktor skinął głową:

— Tak! jestem dzieckiem miłości!... Matka moja była biedną szwaczką, która pewnego dnia dała się unieść namiętności...

— Czy starszy pan Macmorris był już wówczas żonatym?

— Tak jest. Był mężem cnotliwej, surowej niewiasty, którąby mu nigdy zdrady nie wybaczyła. Matka moja zniknąć musiała. Wysłano ją do Brighton, gdzie ja ujrzałem światło dzienne... Aż do dwudziestego roku życia nie wiedziałem nic o mojem pochodzeniu. Dopiero po wyjeździe Macmorrisów do Indyi matka moja wyznała mi tajemnicę...

— I pan postanowił wykorzystać sytuacyę?

— Dopiero po śmierci matki i to prowadzony najwznioślejszemi pobudkami.. Nie chodziło mi o materyalne użycie, ale o środki rozwoju dla mego talentu! Sztuka to wielka rzecz, panie sędzio!.. Tylko miłość dla sztuki skłoniła mnie do tego, że dowiedziawszy się adresu ojca, napisałem do niego...

— I jakiż był skutek?

— Przysyłał mi odtąd co roku pewną sumę, nędzny ochłap swojej olbrzymiej fortuny... A kiedy umarł i to ustało...

— Zwrócił się pan wówczas do brata?

— Tak jest, ale on nie chciał uznać brata, o którego istnieniu ojciec mu nawet na łożu śmiertelnem nie wspomniał. I dlatego, pragnąc ocalić mój talent dla ludzkości, musiałem uciec się do pogróżek...

— Jakże przedstawiały się te pogróżki?

— Napisałem mu, że wyjawię całą prawdę jego matce.

— I to poskutkowało?

— Tak. Odpisał mi, że wkrótce przybędzie do Anglii i sprawę ze mną ureguluje ostatecznie.

— I zadowolił się pan tem przyrzeczeniem.

— Wierzyłem mu. Wiedziałem, że jest dumny i uparty, ale nie jest kłamcą. My artyści znamy się na ludziach, panie sędzio.

— I długo pan czekał?

— Kilka miesięcy. Wreszcie dwa tygodnie temu otrzymałem list z Londynu.

— I po to przyjechał pan do Londynu?

— Naturalnie, że po to.

— Więc twierdzi pan, że pieniądze znalezione w pańskim portfelu otrzymał pan od pana Roberta Macmorrisa jako rodzaj spłaty?

— Nędzna okruszyna z tego olbrzymiego majątku, którego on był jedynym dziedzicem, a do którego ja również miałem prawo!... I jeszcze targował się ze mną!..

— Czy pan zamierzał dalej szantażować Roberta Macmorrisa?

— Szantażować, panie sędzio! co za wyrażenie!... Pan mnie obraża... Jestem artystą i dżentelmenem!... Bratu mojemu przyrzekłem uroczyście, że zrzekam się wszelkich dalszych do niego pretensyi...

Sędzia Ridder przez długą chwilę spoglądał badawczo na aktora. Sam nie wiedział, co ma o tem wszystkiem myśleć.

Ten człowiek robił na nim wrażenie raczej narwanego kabotyna, aniżeli wyrafinowanego zbrodniarza.

W każdym razie twierdzeniom jego gołosłownym trudno było uwierzyć odrazu.

Ryszard Cumd zrobił taką minę, jakby uważał, że wszystko już jest w porządku, że sprawa skończona i on może z równie dumnym gestem z jakim wszedł tutaj biuro sędziego śledczego opuścić..

Ale stanowczy ruch policyanta i słowa sędziego wydarły mu natychmiast to złudzenie:

— Opowiedział mi pan historyę, która wprawdzie brzmi nieprawdopodobnie, ale jednak jest możliwą... Musi pan jednak przedstawić jakieś dowody prawdziwości swego opowiadania.

— Jakie dowody? — wyjąkał Cumd.

— Naprzykład listy, które pan otrzymał od brata.

Aktor zbladł:

— Nie mam tych listów. Musiałem mu wszystko oddać. Nie mam ani słowa skreślonego ręką brata.

— Ani żadnego listu od ojca?

— Także nie.

Sędzia zsunął lekko brwi:

— To niedobrze. Ale może te listy znajdziemy wśród papierów nieboszczyka.

— Wątpię — westchnął żałośnie Cumd — Macmorris powiedział, że to wszystko spali...

— Hm... tak — sędzia, który wstał przed chwilą, zasiadł znowu w swoim fotelu — więc proszę mi odpowiedzieć na następujące pytania.

— Słucham, panie sędzio.

— Czy Robert Macmorris wręczył panu te pieniądze osobiście?

— Tak jest.

— I kiedy?

— Dwudziestego siódmego maja — po południu.

— A gdzie? czy w swojem mieszkaniu?

— Nigdy w jego mieszkaniu nie byłem. Wyprosił to sobie stanowczo. Musiałem na niego czekać za miastem u „Trzech krzyżów".

— Czy przybył dorożką czy też automobilem?

— Na rowerze.

Sędzia przypomniał sobie teraz, iż żona ogrodnika wspomniała coś o popołudniowej wycieczce Macmorrisa na rowerze.

— Jak długo trwała wasza rozmowa?

— Mniej więcej godzinę.

— Czy pan Macmorris żądał od pana jeszcze czegoś ponadto, o czem pan już wspomniał?

— Miałem na drugi dzień opuścić miasto...

— I dlaczegóż pan tego nie zrobił? I nawet udał się pan do kancelaryi „Teatru królewskiego" o engagement.

— Wiedziałem już wówczas, że brat mój nie żyje...

— I nie uważał pan za stosowne dotrzymać zmarłemu słowa, które pan dał żywemu?

Cumd uczuł się boleśnie dotkniętym tym zarzutem.

— Nie przyszłoby mi to na myśl, gdyby mnie nie zmusiły nędzne, filisterskie dusze, ośmielające się wyrażać powątpiewanie co do mego talentu!... Chciałem im udowodnić, kto to jest Ryszard Cumd i co potrafi!..

Sędzia podchwycił te słowa:

— Więc pan w Londynie miał jakichś znajomych?

— Właściwie to nie byli znajomi... Marne kreatury, które zmuszone pić w knajpie lurę, zazdrościły mi szampana!...

— Gdzież to było?

— Właśnie tego wieczoru, kiedy brata mego zamordowano.

— Pytam gdzie?

— Ano w knajpie... takiej z werandą i ogródkiem...

— Jak się ta knajpa nazywa?

Cumd skrzywił się niechętnie:

— Jak się nazywa? Nie przypominam sobie.

— A na jakiej to ulicy?

— Także nie pamiętam.

— Więc nie może pan wykazać swego alibi z owego wieczoru?

— Do kroćset dyabłów! -- zaklął Cumd, który dopiero w tej chwili zrozumiał, że wpadł w pułapkę — przeklęty alkohol!...

— Chce się pan teraz wymawiać pijaństwem?

— Ja już doprawdy sam nic nie wiem...

Twarz aktora wyrażała rozpacz.

— Nie przypomina pan sobie kogoś, coby mógł poświadczyć, że z panem wówczas rozmawiał?

— Tylko kilku bezczelnych kelnerów. Poznałbym może tych nikczemnych fagasów. Ale jak ja ich odnajdę?!

Sędzia uznał za stosowne przerwać badanie i rzekł do policyanta:

— Morston, proszę więźnia odprowadzić do jego celi.

Potem polecił telefonicznie komisarzowi przeprowadzenie ponownej ścisłej rewizyi w mieszkaniu zamordowanego Roberta Macmorrisa. Wszystkie papiery i korespondencye zabrać należy i doręczyć sędziemu Ridderowi.

Rozmowa z aktorem znużyła nieco sędziego, uczuł więc potrzebę orzeźwienia się szklanką wina w winiarni „Pod złotą kaczką".

* * *

— Zdaje mi się — rzekł adwokat Thompson, zapijając porcyę szynki z jajami porterem — że to znowu fałszywy ślad. Ten jegomość, który mógłby wprawdzie bez charakteryzacyi grać rolę tytułową w „Królu gałganiarzy" nie wygląda mi jednak na bandytę...

— Pomyśl jednak, te pieniądze, które przy nim znaleziono — zauważył doktór Larnings, odkładając na bok „Daily Mail".

— To nic jeszcze nie znaczy. W każdym razie gotówbym bronić tego biedaka...

— To także nie znaczy jeszcze, żebyś go za niewinnego uważał... Adwokatem wszak jesteś, mój drogi...

— Ależ słuchaj! Toż my mamy alibi tego człowieka!.. Jego wtedy wyrzucano z pod „Zielonego Dębu" kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa spełniono zbrodnię.. A zatem, ten człowiek jest niewinny, albowiem niepodobna, iżby on...

— Oto zbliża się źródło, z którego możemy zaczerpnąć autentycznych i najświeższych informacyi — przerwał przyjacielowi lekarz.

— Prawda! to sędzia Ridder. Ten może nas najlepiej poinformować o wynikach śledztwa.

— Panie sędzio, prosimy tu do nas! — zawołał doktór.

— Najchętniej. Dzień dobry, moi panowie. Muszę sobie przepłukać gardło, bo się zmęczyłem przesłuchaniem tego aresztowanego aktora.

— No i jakież wrażenie? Jakie rezultaty?— dopytywał się doktór Larnings.

— Nie mogę powiedzieć, aby ten człowiek robił na mnie wrażenie mordercy. Wszystko co opowiada — to są rzeczy w granicach możliwości, tylko z tem bieda, że alibi swego wykazać nie umie...

— W tem my możemy mu pomóc. Ja i doktór.

— Panowie?

— Tak jest. I szereg innych osób. Właściciel restauracyi „Pod Zielonym Dębem", kelnerzy tamtejsi, bufetowa...

— Więc on się upił do nieprzytomności „Pod Zielonym Dębem"?

— Tak jest. My obaj weszliśmy do tego lokalu o 11-tej godzinie. O tej porze Macmorris żył jeszcze. A ten komedyant zapijał się tam już od wieczora, miał przed sobą całą bateryę wypróżnionych butelek, a w portfelu krocie. Siedział tam jeszcze czas jakiś, i kiedy wreszcie po dłuższej awanturze opuścił lokal dochodziła dwunasta... Było to już zatem chyba po morderstwie...

I pan go poznaje?

— Skoro go tylko dzisiaj zobaczyłem, natychmiast przypomniałem sobie, gdzie i kiedy go widziałem...

Sędzia Ridder zmarszczył brwi.

— Ha! jeśli tak — to trzeba go będzie wypuścić, tak jak tego lokaja. Ale co dalej?

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie, a żaden nie zdobył się na odpowiedź.

— Tak, moi panowie — ciągnął dalej sędzia Ridder — jeżeli w tym wypadku nie mamy do czynienia ze zbrodnią rabunkową, to zaczynam się lękać, że ta sprawa nigdy nie zostanie wyświetloną... W takim razie to byłoby...

Urwał, niechcąc powiedzieć za wiele, lecz podniecony ciekawością doktór Larnings nie chciał dać za wygraną.

— Pan ma jeszcze jaki ślad?

— Ja nie, ale komisarz Gray wyraził przypuszczenie..

— Chercher la femme? Szukajcie kobiety. Stara piosenka — uśmiechnął się młody adwokat.

— Oczywiście, że kobieta byłaby tutaj punktem zaczepienia. Ale to przypuszczenie wydało mi się fantastycznem i jednocześnie okropnem, że usiłowałem je co rychlej odep hnąć...

Adwokat Thompson drgnął nagle, jakby tknięty jakiemś przeczuciem.

— Czy można wiedzieć co to za przypuszczenie? — zapytał.

Sędzia nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w tej chwili ukazał się na werandzie policyant. Sędzia zmarszczył niechętnie brwi.

— Ani chwili spokoju człowiek niema. Cóż to znowu nowego?

— Pan komisarz Gray prosi, żeby pan sędzia natychmiast przyszedł do biura, bo ma ważne rzeczy do zakomunikowania.

ROZDZIAŁ VIII.

Zdradziecki sztylet.

— John Kidds nieśmiało otworzył drzwi, wiodące do laboratoryum jego pana.

— Ach! proszę pana...

Chemik podniósł głowę z ponad retorty.

— Cóż tam? Może w piwnicy coś się stało...

— To nie. Ale dopiero mnie wypuścili, a on już znowu idzie...

— Kto taki?!

— No, ten okropny komisarz, który mi mierzył podeszwy. Pewnie sobie znowu coś innego na mnie znaleźli...

W tej chwili zadźwięczał ostro dzwonek.

— Idź otwórz...

— Ach! to on... Ja się boję..

— Ten chłopak doprowadzi mnie do wściekłości!... Idźże natychmiast i otwórz!...

Joh blady ze strachu wyszedł spełnić polecenie. Po upływie kilkudziesięciu sekund po wrócił:

— Pan komisarz chce mówić z panem...

— Więc zaprowadź go do mego gabinetu. Zaraz tam będę.

I Morton zrzucił ze siebie biały płaszcz, którego używał przy pracy. Za chwilę witał już komisarza, który pomimo uprzejmego zaproszenia nie usiadł.

— Czy pan chce może pomówić ze mną w sprawie zamordowania Macmorrisa?

— Zgadł pan.

— Czy zaszło coś nowego?

— Hm... właściwie... to chciałem właśnie o tem z panem porozmawiać.

— Proszę bardzo, ale dlaczego pan stoi, panie komisarzu? Niech pan siądzie.

Komisarz zdecydował się wreszcie zająć miejsce we wskazanym mu fotelu.

— Pan był z zamordowanym w przyjaźni?

— Od lat dziecinnych.

— Bywał pan oczywiście u niego w jego londyńskiem mieszkaniu?

— Tak jest bywałem z początku, dopóki...

Marton nie dokończył. Czoło jego sfałdowało się, nadając młodej, przystojnej twarzy wyraz posępny.

— Znał pan zatem jego nawyknienia?

— Jakie mianowicie nawyknienia?

— Robert Macmorris często pozostawiał otworem i drzwi swego mieszkania i furtę ogrodową... Musiał to pan chyba zauważyć?

— Istotnie. Nawet mu raz zwracałem uwagę, ale odpowiedział, że ogrodnikowi i jego żonie może w zupełności zaufać...

— A czy owej fatalnej nocy drzwi były otwarte? — zapytał nagle komisarz.

Henryk Morton przesunął ręką po czole.

— Skądże ja wiedzieć mogę?

— Widziano pana tej samej nocy w pobliżu Chichtonowskiej willi... Sądziłem więc, że może odwiedził pan przyjaciela...

— Od dłuższego czasu przyjazne stosunki nasze zostały zerwane.

— Ach! tak prawda... coś o tem słyszałem... A czy pisywaliście panowie do siebie?

— Nie.

— A tak... Wie pan, ja te pytania zadaję z powodu wyników dokładniejszej rewizyi na miejscu zbrodni...

— Dlaczego pan właściwie z taką niezachwianą pewnością mówi o zbrodni? A gdyby to było samobójstwo?

Komisarz spojrzał na Martona z ukosa.

— Samobójstwo było od początku wykluczone. Pozatem przecież pan pierwszy skierował podejrzenia na swego lokaja.

— Chciałem dopomódz nieco do wyjaśnienia tej strasznej tajemnicy — rzekł Morton nieco zmieszany.

Po wargach komisarza przemknął ironiczny uśmieszek.

— Zdaje się, że pan będzie mógł coś więcej w tym kierunku zrobić... Mamy bowiem prawo przypuszczać, żeśmy nareszcie wpadli na trop właściwego mordercy...

— Znaleźliście panowie coś w mieszkaniu Macmorrisa?

— Naprzód w piecu popiół, pochodzący ze spalonych papierów..., ale to mniejsza... co innego sprowadza mnie do pana...

Chemik mimowoli uczuł się zaniepokojonym:

— Ciekaw jestem — co takiego?

— Jak panu wiadomo Macmorrisa zamordowano sztyletem oryentalnej roboty.

Morton skinął głową potwierdzająco:

— Czytałem o tem w dziennikach.

— I nie powiadomił pan władz, że broń mordercza jest pańską własnością?...

Morton zadrżał.

— Pochwa... — wyszeptał.

— Tak jest, pięknie cyzelowanej pochwy sztyletu nie znaleziono w ciągu pierwszej powierzchownej rewizyi... Dopiero teraz, kiedy pochwę mamy już w ręku i wiemy...

Morton zerwał się z krzesła:

— Panie komisarzu! pan nie chce przez to powiedzieć, że ja...

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZOFIA GUZOWSKA.

W pruskim mundurze

(z przeżyć 1914 r.)

Pod miastem szaleje bitwa...

Na rampie kolejowej w Lublinie zamienionej tymczasowo na punkt opatrunkowy — panuje podniecenie i ruch gorączkowy.

Huk armat coraz głośniejszy, wyraźniejszy, zlewa się chwilami w głuchy, przeciągły grzmot.

Bitwa zbliża się i rosną też transporty rannych. Już cały plac po jednej stronie baraku, zastawiony szczelnie chłopskimi wózkami. Na wozach leżą nieruchomo, poszarpane, strzępami szyneli i mundurów okryte ciała. Nie słychać jęków, ni nawoływań, z przedziwną cierpliwością oczekują wszyscy swojej kolei, tylko oczy żałosne, umęczone patrzą ku nam z cichą przejmującą skargą. A z oddali ciągną wciąż nowe naładowane furgony, samochody, wozy... wloką się, wreszcie pieszo o kijach, lub wsparte jedne na drugich okrwawione widmowe postacie — wśród zapadającego już mroku podobne do zjawy rozgorączkowanej wyobraźni. Z drugiej strony budynku, tuż do samego pomostu podjeżdżają co chwila długie pociągi towarowe i wyrzucają bez końca swój straszliwy ładunek.

I tylko dziw, że się to wszystko gdzieś jeszcze mieści dotychczas.

Cały budynek zresztą zapchany rannymi.

Leżą już nietylko na noszach, ale pokotem wprost na podłodze, bez słomy, na gołych deskach tylko. Zdrowsi tłoczą się po kątach, lub siadają na noszach.

Panie w białych chusteczkach na głowie, z opaskami Czerwonego Krzyża na ramieniu, roznoszące żywność i ochotnicza służba sanitarna, — z trudem torują sobie drogę wśród tych gromad.

Stopy z trwogą szukają wśród leżących wolnego przejścia, by nie nastąpić na żywe ciało.

— — — — — — — — — — — — — — —

Głośniejszy huk armat wstrząsnął powietrzem aż zadrżały drewniane ściany... I znowu jakby łoskot grochu rzuconego o blachę.

Lżej ranni podnoszą głowy, nadsłuchując niespokojnie.

— Ogień huraganowy, objaśnia jakiś brodacz z obandażowaną ręką.

— To Niemcy tak walą, mówi inny. Cała dywizya niemiecka przyszła dziś Austryakom na pomoc. Oni tu mogą lada chwila być, — im się nic nie ostoi, kończy z jakąś tępą rezygnacyą.

— Och, ci Niemcy! — mówi z irytacyą młodziutka blondynka, zbierając kubki do wiadra, — jak ja ich nienawidzę! Wie pan, zwraca się do stojącego obok studenta, że gdyby tu jakiego Prusaka przynieśli, tobym go chyba własnemi rękami udusiła!

— Rannego? Ech zawracanie! Tak by go pani opatrywała i poiła herbatą, aż miło.

— A jakże, jeszcze czego! Za ten Kalisz może, gdzie tyle ludzi wymordowali...

Nie dokończyła usuwając się na bok, bo właśnie sanitaryusze zaczęli wynosić świeży transport rannych z przybyłego przed chwilą pociągu.

— No, panno Maryo, ma ich pani. O! tu, tego Prusaka. Cóż, będzie go pani dusić?...

Na dźwięk polskiej mowy postać, nakryta okrwawionym i zbłoconym płaszczem pruskim, poruszyła się, z ust wydarł się chrapliwy jęk:

— O Boże! rodacy! Zlitujcie się, ratujcie, pomóżcie. Ja mam dzieci, małe dzieci i żonę... ja Polak ...z Bytomia.

Rzuciliśmy się ku niemu. Za chwilę znalazł się w odzielnej izbie opatrunkowej, gdzie umieszczano najciężej rannych.

Niestety stan jego okazał się bardzo groźnym. Otrzymał dwa postrzały w brzuch i jedynie natychmiastowa operacya i troskliwa opieka szpitalna mogłaby go jeszcze uratować.

Ale od dziś właśnie władze rosyjskie wydały rozkaz, aby wszystkich rannych jeńców odsyłać bezzwłocznie dalej w głąb Rosyi.

Rozpacz nas ogarniała...

Napróżno obaj dyżurni lekarze i wszystkie panie z Komitetu błagały komendanta, aby tym razem zrobił wyjątek, przekładając, że w tym stanie ranny, w trzęsącym wagonie towarowym nie dojedzie nawet do następnej stacyi, — wszystko napróżno — komendant był nieugięty. A ranny tymczasem co chwila tracił przytomność i tylko, jęcząc z cicha, powtarzał monotonnie:

— Bracia, ratujcie, nie dajcie umierać wśród obcych, zlitujcie się!

Ja przecie wasz, ja ze Śląska, ja mam dzieci, małe dzieci, i taka bieda u nas...

Nie mogłam już tego słuchać. Zerwałam się i przeciskając przez zatłoczony barak wybiegłam na zewnętrzny pomost — sama nie wiedząc dokąd tak biegnę i poco. Byle dalej od tych jęków, od jej niedoli, której nic ulżyć nie mogłam.

Świeże, chłodne powietrze orzeźwiło mię.

Na przeciwległym końcu pomostu dostrzegłam rozmawiającego z żołnierzem, zastępcę naczelnego lekarza, profesora Mironowa z Moskwy, znanego liberała, który zawsze wiele sympatyi okazywał naszemu Komitetowi.

Podbiegłam szybko ku niemu. Wydał mi się ostatnią deską ratunku.

— Profesorze, na miłość boską, co wy tu wyrabiacie! To potworne, to są zupełnie dzikie zarządzenia. To poprostu zbrodnia.

— Co? co się stało, czemu pani taka wzburzona?

W krótkich, bezładnych słowach opowiedziałam całą sprawę. Zrobiło to na nim wrażenie, chociaż usiłował tłomaczyć słuszność zarządzeń.

— To trudno, proszę pani, to są twarde prawa wojny. Zresztą zobaczę, może się da co zrobić, niech się pani uspokoi. Ale to będzie bardzo trudno. Gdyby to jeszcze był Austryak, ale Niemiec... Prusak..

— Coteż profesor opowiada! Jaki Prusak?! Przecież to Polak, ze Śląska, — przecie on tylko z musu z Niemcami, tak samo jak my z wami... Urwałam.

Profesor żachnął się nieco.

— Ależ pani, co też pani mówi, niechże się pani opamięta. Ja... nic, do mnie to można, ale gdyby tak kto usłyszał?

Pani jest bardzo wzburzona, ja to rozumiem, to naturalne.. Pani jako Polka...

— Pani Polka?, zwróciła się do mnie nagle przechodząca obok wysoka, szczupła „krzyżanka" w czarnej sukni i czarnym welonie na głowie.

— Oh jak to dobrze. Wyszłam właśnie poszukać której z pań Polek. Tu w naszym sanitarnym pociągu, jest jeden bardzo ciężko ranny Niemiec i tak prosił, aby przyszedł do niego ktoś mówiący po polsku. To niedaleko, zaraz na trzecim torze.

- Niemiec?... po polsku... ach tak. Rozumiem.

Pożegnawszy się szybko z profesorem, który obiecał zaraz pomówić z komendantem — pospieszyłam za czarną „krzyżanką".

W oddaleniu paruset kroków od baraków, stał lśniący od świateł elektrycznych czysty jak pudełeczko - sanitarny pociąg „ziemstw" rosyjskich. Weszłyśmy do wnętrza i, minąwszy kilka wagonów, zatrzymały się przy zawieszonem dość wysoko posłaniu.

Na białym materacu leżał młody chłopak. Z zapadłych oczu świeciła mu gorączka. Na twarzy miał piętno śmierci tragiczne, a nieomylne.

— To ten, szepnęła cicho „krzyżanka". Ma przestrzelony kręgosłup, pożyje najwyżej jeszcze dzień — dwa...

Pochyliłam się ku rannemu i dotykając zlekka jego splecionych kurczowo rąk — wyrzekłam zdławionym głosem:

— Pan Polak?...

Poruszył się gwałtownie i cień uśmiechu blady przepłynął się po szaro ziemistej twarzy.

— Ja, ja, ich bin Pole... Ze Śląska, z pod Bytomia... Oo! jaka pani dobra, że tu przybyła, — mówił, z trudnością dobierając wyrazy. Ja tak chciał usłyszeć mowa polska. Ja już dawno służę.. To tak straszno samemu... u obcych.

Zaczęła się bezładna, chaotyczna rozmowa, w której siląc się na spokój i pogodę, rzucałam mu słowa mizernej, ułudnej kłamliwej, nadziei, że będzie zdrów, że wróci...

Ranny opowiadał schrypniętym, matowym głosem coś o rodzinie, o matce swojej, co jest od Krakowa i mówi pięknie po polsku", — o domu, gdzie go czekają tak dawno, wtrącając często słowa niemieckie i wciąż dziękując, że przyszłam...

Nagle chwycił mnie kurczowo za rękę i patrząc przenikliwie w oczy spytał:

— Pani, powiedzcie, co będzie z tej wojny straszne, z tej męki naszej — co będzie?...

— Polska będzie, wyrwało mi się z ust jakgdyby z głębi duszy.

— Polska będzie, wyrwało mi się z ust jakimś dziwnym głosem. Polska!... Daj to Bóg, daj to Bóg!

W tej chwili podeszła do nas „krzyżanka".

— Przepraszam, że przerwę, ale musi pani już odejść. Za chwilę odjeżdżamy.

Zaczęłam się żegnać, pytając czy nie ma jeszcze jakiegoś życzenia — może list? może co na drogę potrzeba?

— Nic nic, dziękuję, nic mi nie trzeba. Tylko niech Pani Bóg nagrodzi za tyle dobroci.

— Za co bracie, za co? Cóż ja ci zrobiłam tak bardzo drogiego! Nic przecie...

— Oh, wiele, bardzo wiele! Pani przyszła do mnie z mową polską.

— Jeszcze przed śmiercią słyszałem dobre słowa polskie.

I znowu z ust jego przerywaną, drżącą falą popłynęły na głowę moją błogosławieństwa dziękczynne...

— — — — — — — — — — — — — —

Noc już była na świecie, ponura późna noc jesienna, gdy podmiejskiemi uliczkami, wśród parkanów i łąk nadrzecznych, wracałam ze stacyi do domu. Szłam wolno, śmiertelnie znużona i rozbita fizycznie i moralnie.

A wśród cieniów nocy wlekły się za mną żałosne widma na zatratę skazanych braci.

— — — — — — — — — — — — — —

Przeszły lata.

W wirze wielkich wydarzeń zatarły się bolesne wrażenia pierwszego roku wojny.

Lecz oto nagle po latach tylu na dźwięk słowa Śląsk, który dziś znowu naszą stał się ziemią — zbudziły się widma; z zapadłych wyszły mogił i stanęły przedemną przedziwnie jasne, wyraźne i bliskie.

Z zaświata patrzą ku mnie dawne umarłe oczy, pełne bólu i skargi.

KONIEC.

Kronika tygodniowa.

Przed przystąpieniem do zwykłego porządku, na którego pierwszem miejscu znajduje się gwałtowna zwyżka dolara i odpowiadający jej spadek marki polskiej i powagi pana ministra Grabskiego, chciałby kronikarz odpowiedzieć na liczne zapytania, jakie otrzymał z różnych stron, czy opłaci się jechać na wakacye, ewentualnie dokąd.

Utarło się w naszem społeczeństwie mniemanie, że wyjazd z miasta na wakacye gdzieś w wiejskie ustronie lub do tętniącego prawdziwie wielkomiejskim życiem zdrojowiska lub uzdrowiska jest konieczny, jeśli nie ze względów zdrowia, to bodaj dla op'nii publicznej, zupełnie inaczej spoglądającej na tych, którzy mogą sobie pozwolić na wakacyjną wycieczkę, niż na resztę, pozostającą w murach miasta i łykającą jego zgęszczone powietrze. Szanująca się rodzina powinna stanowczo na lato opuścić miasto, choćby nawet za pożyczane pieniądze.

Na pierwszą część zapytania, czy należy wyjeżdżać na lato z miasta, jest więc jedna tylko odpowiedź i to potakująca, trudniej natomiast odpowiedzieć na drugą, t. j. dokąd jechać. Na tym punkcie zdania są podzielone, jedni bowiem wychodzą z założenia, że należy wybierać miejscowości, cieszące się liczną frekwencyą letników, gdyż tam o wszystko łatwiej, inni natomiast są za tak zwanemi „zapadłemi dziurami prowincyonalnemi", dającemi więcej swobody. Kronikarska rada, który z tych kierunków wybrać, musi też być bardzo oględną, aby ten, kto za nią pójdzie, nie miał potem powodów do narzekania: „A toś mnie pan ładnie wpakował!..." Najlepiej zatem będzie, jeśli każdy z mających ochotę do wyjazdu, postąpi, jak sam uważa za stosowne, t. j. pojedzie, lub zostanie w mieście, a jeżeli pojedzie, uda się tam, gdzie, jak sądzi, będzie mu najwygodniej.

Wybierając się do renomowanego letniska lub uzdrojowiska, musi się być przygotowanym na wygórowane ceny, jakie tam obowiązują. Czytaliśmy przed tygodniem w pismach codziennych, iż koszta dziennego utrzymania w pensyonacie w Zakopanem obliczono na czterdzieści dwa tysiące marek, dziś, przy gwałtownej zwyżce dolara i spadku marki polskiej cena ta jest niezawodnie wyższą. Jeśli zatem budżet letnika pozwala na to, niechaj jedzie do Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy, Rabki, tam będzie wprawdzie miał sposobność do codziennych narzekań na szaloną drożyznę, ale będzie miał przynajmniej wszystko to, co do życia potrzebne, letni ruch nie da mu odczuć samotności i pozwoli żyć złudzeniem, że jest w mieście, skoro widzi koło siebie te same sympatyczne twarze naszych poczciwych paskarzy, spotykane przez rok cały w Krakowie, Lwowie lub Warszawie. Nie zmienili oni i tutaj trybu swego życia, łykają wprawdzie świeże powietrze, ale nie zapominają przytem także i o interesach, a przedmiotem ich rozmów są stale i jedynie transakcye handlowe i finansowe, kurs dolara lub franka zajmuje ich bardziej, niż prognoza, czy jutro będzie pogoda, pozwalająca na wycieczkę, skoro jedynym celem ich spacerów są miejsca, gdzie mogą swobodnie pomówić o obecnej sytuacyi finansowo handlowej, a do tego w razie niepogody nadaje się najlepiej restauracya. Ze względu, że główny kontyngent letników stanowi właśnie ta kategorya ludzi, nieliczących się z groszem i nie żałujących go, o ile rozchodzi się o własną przyjemność, drożyzna w tych renomowanych mie scowościach rośnie też z dnia na dzień, sprytni miejscowi przedsiębiorcy umieją bowiem należycie wyzyskać pomyślne dla siebie konjunktury. Aby za tem mdz przebyć kilka tygodni na tak zwanem świeżem powietrzu w takiem środowisku, trzeba rozporządzać grubymi milionami, a na to umysłowo pracujący intelligent lub urzędnik, żyjący ze stałych dochodów, wzrastających co najwyżej w miarę obliczeń warszawskiej komisyi drożyźnianej, pozwolić sobie nie może.

Pozostaje zatem takiemu letnikowi jakaś mniej znana miejscowość, gdzie powietrze jest może nawet i daleko świeższe, ale gdzie musi być przygotowany na brak wszelkich wygód, a do tego nie może liczyć na zbytnią taniość, bo i tamtejsi mieszkańcy, choć zdala od ruchu wielkoświatowego, nauczyli się już kalkulować ceny według zwyżki dolara, nie uwzględniając w żadnym wypadku jego zniżek, podobnie, jak to czynią niektórzy wielkomiejscy kupcy. Taki obywatel zapadłej prowincyonalnej dziury, odnajmujący letnikowi na czas wakacyi ubikacyę, służącą mu w zimie za magazyn lub kurnik, każe sobie zapłacić za nią słono, wychodząc ze słusznej zresztą zasady „chcesz łykać świeże powietrze, to za nie płać!" Kieruje ona nimi i przy pozbywaniu się najniezbędniejszych artykułów codziennego życia, o które tam wogóle bardzo trudno, o ile są zaś, kupować się je musi na wagę złota. Ponieważ trudno wymagać od letnika, aby wszystko przywiózł z sobą i nie był narażony na łaskę i niełaskę miejscowej ludności, uważającej go za swą ofiarę, przeznaczoną na obdarcie żywcem ze skóry, pomijając pewną swobodę, jaką się ma tutaj, przyznać trzeba, że pobyt w takiej dziurze zakazanej nie należy bynajmniej do przyjemności i na polepszenie zdrowia absolutnie nie wpływa

Jeżeli kandydat na letnika zechce zatem uwzględnić wyżej przytoczone motywy, a chyba przyzna im słuszność, najniezawodniej zrezygnuje z wakacyjnego wyjazdu i zostanie w mieście, gdzie powietrze nie jest znowu tak nieznośne, skoro mury miejskie opuściła gromada paskarzy, przyczyniającej się tem samem do jego rozrzedzenia Mając przed sobą perspektywę ciągłej irytacyi, czy to z powodu wysokiej ceny biletu kolejowego na miejsce, czy to szalonego wyzysku, uprawianego przez wynajmujących mieszkania, czy też setek podobnych innych przyjemności, połączonych z wyjazdem na tak zwane letnie wywczasy, a godzących stale w naszą kieszeń, jak gdyby ona była bezdenną, najmądrzej uczyni, kto z domu się nie ruszy, choć bowiem i tutaj znajdzie dość powodów, niezbyt wesoło usposabiających, przynajmniej nie wyda tyle pieniędzy. Kronikarz od lat dwu dziestu wybiera się corocznie na letni wypoczynek i to nawet dłuższy czas trwający, murów miasta przecież ani razu nie opuścił, a zdrowie jego jakoś na tem zbyt widocznie nie ucierpiało. Kto ma ochotę, niechaj zatem wyjeżdża na lato i to, dokąd mu się podoba, a po powrocie niech się podzieli z nami odniesionemi wrażeniami, a jesteśmy prawie pewni, że wyrazi nam swą wdzięczność, zostawszy w mieście i słysząc, co o letnim pobycie na łonie przyrody opowiadają jego znajomi, przeklinający pamięć tego, kto wynalazł wyjazdy na wakacye.

Na ogólną ochotę wypoczynku wakacyjnego wpłynęła deprymująco nadzwyczajna drożyzna, jaka nas zaskoczyła w ostatnich dniach dzięki gwałtownemu podskoczeniu dolara, który w przyspieszonem tempie od pięćdziesięciu tysięcy marek doszedł prawie że do dwustu tysięcy za sztukę, co pociągnęło za sobą podniesienie się cen wszystkiego, co do życia niezbędnie jest potrzebne.

Abraham zrodził Izaaka, Izaak Jakóba, Jakób Judę i braci jego, ministra Michalskiego utrącili ci sami, którzy go na fotelu usadowili, po nim przyszedł Jastrzębski, tego z kolei zlużował Grabski, wszystko to w stosunkowo krót kim czasie, a maszyna drukarska biła tymczasem dniem i nocą nowe banknoty, dzielnie zaś pomagali jej w tem prywatni spekulanci, tak swoi jak i zagraniczni, fabrykujący nasze marki na wielką skalę.

Minister Michalski obejmując swe urzędowanie zapowiedział gruntowną reformę naszych finansów i rychłą skutkiem tego ich poprawę, do czego miała się przyczynić danina majątkowa i wprowadzenie systemu oszczędnościowego we wszystkich gałęziach naszej administracyi. Skończyło się na zapowiedzi, daninę wprawdzie ściągnięto, ale nie przyniosła ona spodziewanych rezultatów, a dalsze usiłowania ministra sparaliżowane zostały przez ogólną opozycyę i to tak z łona jego przyjaciół, jak i przeciwników politycznych. Minister Michalski po krótkich a dolegliwych cierpieniach przeniósł się w dobrze zasłużony stan spoczynku, a na miejsce jego przyszedł pan Jastrzębski, który w swej programowej mowie skrytykował druzgocąco całą politykę finansową swego poprzednika i zapowiedział *urbi et orbi*, że dopiero on zrobi coś, co naszą markę uratuje od grożącego jej coraz widoczniej paraliżu postępowego. Miał cały świat zadziwić, ale skończyło się znowu tylko na obietnicy, zanim bowiem mógł rozglądnąć się należycie w sytuacyi finansowej, okoliczności tak się złożyły, że i on powiększył grono emerytowanych aniołków, a na fotelu ministeryalnym rozsiadł się pan minister Grabski, oświadczając, że wszystko, co dotąd poczyniono, były to tylko nieudałe próby dyletantów, a on dopiero, choć tylko teoretyk, zabierze się do gruntownej reformy naszej skarbowości, co jednak, jak wogóle każda wielka rzecz może dojść do skutku nie tak prędko, że zatem należy być przygotowanym, iż marka polska, zanim nabierze właściwej siły, spadnie jeszcze bardziej, ale wreszcie przyjdzie czas, że wartość się jej ustali, trzeba się zatem uzbroić w cierpliwość i nie przeszkadzać mu w eksperymentach, które kiedyś muszą uwieńczyć pożądane skutki.

Najbliższe już tygodnie okazały, że pan minister się nie pomylił, ale tylko co do tej części swego oświadczenia, że marka polska tracić będzie na wartości w dalszym ciągu, co się bowiem tyczy jego zarządzeń, mających na celu poprawę naszej waluty, to okazały się one bezcelowemi, a nawet szkodliwemi dla niej, gdyż obniżały jeszcze bardziej jej wartość. Przyczyniły się do tego jego bony złote, dające sposobność do nowych, tym razem zupełnie już legalnych spekulacyi walutowych, osłabiających coraz bardziej wartość marki polskiej. Uciekano się w międzyczasie do rozmaitych środków ratunku, ale, jak się pokazało, były to tylko półśrodki, obliczone na bardzo krótką metę, a w rezultacie przynoszące skarbowi państwa gruntowną szkodę. Marka polska spadała w dalszym ciągu, podnosiła się natomiast niepomiernie wartość obcych walut, a handel niemi rozwinął się w sposób niesłychany, oczywiście również z korzyścią jedynie dla spekulujących jednostek, a na szkodę skarbu. I w tym kierunku próbowano stosować środki zaradcze, lecz antidotum było z zasady albo za słabe, lub też stosowane po niewczasie, nie leczyło zatem, lecz chorobę pogarszało. Wobec tego n'e można się dziwić, że dolar i inne waluty zagraniczne osiągnęły u nas wprost zawrotną wysokość, marka zaś polska konsenkwentnie jak to pan minister przepowiedział, spadała w dalszym ciągu, nic sobie nie robiąc z wszelkich wysiłków pana ministra, chcącego ją ratować, a pogrążającego ją coraz bardziej w przepaść.

Narzekania stawały się coraz głośniejsze, niezadowolenie coraz ogólniejsze, zaczęto się zastanawiać nad wyszukaniem następcy tronu, a ponieważ pozostajemy ciągle jeszcze pod wrażeniem wprowadzenia jak najdalej idących oszczędności, przyszło komuś na myśl, aby za miast jednego ministra skarbu było ich odtąd dwu, bo we dwójkę prędzej sobie dadzą radę niż w singeltona. Są już nawet upatrzeni kandydaci w osobach byłego ministra Michalskiego, byłego wiceministra Byrki i dyrektora Marcina Szarskiego. Druk biletów bankowych prowadzony będzie jednak w dalszym ciągu w pospiesznym tempie, jak to widać z notatek dzien nikarskich, z których dowiadujemy się, że zamówiono za granicą cały wagon czerwonej farby, mającej służyć jedynie do drukowania numerów seryi na nowej emisyi banknotów o co raz to wyższej wartości, gdyż obecnie już się nie opłaca produkcya lisów, tygrysów i słoni, razem z wielbłądami nie przedstawiających na wet wartości dawnej monety zdawkowej.

O przeprowadzeniu gruntownego systemu oszczędnościowego jakoś nic dotąd nie słychać, choć on mógłby się bardzo wydatnie przyczynić do sanacyi obecnych stosunków ekonomicznych. W tym kierunku można się powołać na jedno z oświadczeń byłego prezydenta Sikorskiego, który stwierdził publicznie, iż skarb państwa cierpi głównie r tego powodu, iż prawie trzy czwarte społeczeństwa chciałyby żyć jego kosztem. Dla różnych ubocznych celów, nie mających nic wspólnego z dobrem ogółu, potworzono całe falangi zupełnie niepotrzebnych urzędników i tych trzeba się przedewszystkiem pozbyć

Próba pana ministra Grabskiego ze złotymi bonami również się nie powiodła, a zwyżka dolara pociągnęła za sobą także i ich gwałtowny skok z dwunastu tysięcy marek w ciągu niespełna trzech dni na dwadzieścia. Gdy kryzys dolarowy doszedł do kulminacyjnego punktu rząd zaś chwycił się raz wreszcie energicznych środków przeciw waluciarzom, dolary spadły w cenie, pociągając za sobą i bony złote, czego następstwem było pojawienie się „ogonków bonowych" przed wrotami Kasy Pożyczkowej.

Kto ma głowę nabitą kłopotami natury finsowej, a te są dziś najważniejsze, nie zwraca zupełnie uwagi na to co się dzieje w świecie politycznym, za ogólnym prądem idzie zatem i kronikarz, odkładając je do następnego tygodnia, w tej miłej nadziei że sytuacya finansowa tymczasem się wyjaśni.



Dekoracya weteranów r. 1863: Jenerał Jędrzejowski Dca DOK. dekoruje na placu Św. Ducha we Lwowie zasłużonych weteranów.

Dekoracya weteranów 1863 r.

We Lwowie na placu Św. Ducha odbyła się uroczystość dekorowania krzyżami Virtuti Militari weteranów z r. 1863. Uroczyste przemówienie wygłosił dowódca DOK. jen. Jędrzejowski, który następnie dokonał aktu dekoracyi.

Sensacyjny match bokserski w New Yorku.

(Do illustracyi na str. 4).

Od czasu słynnego matchu Carpentiera ulubieńca całej Francyi z Dempseyem nie było równie sensacyjnego spotkania jak walka Criqui'ego z Kilbanem. Była to również walka mistrzów 2-óch półkul. Eugeniusz Criqui, Francuz, jest młodym 30-letnim człowiekiem, który dopiero po wojnie w której zebrał liczne odznaczenia za męstwo — poświęcił się zawodowi boksera. W 1918 i 1920 r. — w czasie tournee po Australii — zwyciężył kolejno wszystkich mistrzów tej części świata. — Następnie powrócił do Europy i tu odniósł dalsze zwycięstwa m. in. nad słynnym Carpentierem. — W bieżącym miesiącu stanął wreszcie do walki z mistrzem Ameryki lekkiej wagi, Johnn'ym Kilbane, który tytuł swój zdobył już w r. 1912. Walka rozstrzygnięta została w 6 tym już spotkaniu. W dwóch pierwszych przeciwnicy obserwowali się, w trzecim Amerykanin przeszedł do ataku i uzyskał nawet pewną przewagę, — ale już przy czwartem spotkaniu Francuz obalił Amerykanina ciosem w szczękę. Kilbane zdołał jeszcze powstać, ale już w 6-tym spotkaniu ostatecznie pokonany runął na wznak. Mistrzem świata został więc Francuz Criqui, t. zw. „król knock out'u". Amerykanie zachwyceni jego pięknym sposobem walki urządzili mu owacyę — choć ich ulubieniec — Amerykanin poniósł porażkę.

Sensacya chwili

„Casanowa" na scenie Teatru Wielkiego

(Nowa opera polska)

Prasa warszawska wystąpiła z artykułami pełnemi entuzyazmu dla nowej opery polskiej wystawionej na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie.

Autorami jej jest muzyk Ludomir Różycki i literat Julian Krzewiński, a tematem słynny awanturnik XVIII stulecia Casanowa.

W pierwszym akcie Casanowa, jako młodzieniec pełen rycerskich przymiotów, zakradł się do ogrodu któregoś z pałaców haremowych nad Bosforem i przypatruje się ukryty za drzewami jak córka baszy i jej służebnice igrają, bawią się i tańczą na brzegu sadzawki przed kąpielą. Eunuchy go dostrzegają, aresztują i prowadzą przed oblicze baszy. Aby ocalić córkę od wiecznej hańby basza postanawia, że Casanowa który mu powiedział, że jest posłem Weneckim, przyjmie wiarę Mahometa i ożeni się z panną. Casanowa zgadza się na to. Basza postanawia urządzić zaraz zaręczyny. W tem Casanowa spostrzega wśród żon baszy jedną sprawiającą wrażenie europejki. Okazuje się, że jest ona Włoszką. Porozumiewa się tedy z nią — przy jej pomocy ucieka z nią z pałacu baszy i wsiada na okręt, który odjeżdża do Wenecyi. W drugim akcie jest kostyumowy bal u Weneckiego prefekta policyi. Służba szykuje sale na przybycie gości. Wtem zjawia się w salonie jakiś zbiegły ze słynnego z grozy więzienia weneckiego „dei Piombi" żebrak z ogromną brodą. Jest nim Casanowa. Służba przypuszcza, że to ktoś z zaproszonych gości przebrał się za żebraka. Ale jedna z pokojówek spostrzegła, że broda tego żebraka nie jest przyprawiona, tylko prawdziwa; więc dla figla proponuje, aby mu ją ogolić. Casanowa zgadza się na to tem chętniej, że go to łatwiej ukryje przed pościgiem policyi. Golą mu więc brodę. Bal się rozpoczyna i Casanowa poznaje w gospodyni domu dawną swą kochankę Caton i ona poznaje go także i ostrzega go, że się znajduje w mieszkaniu swego największego wroga. Przebiera go w szaty balowe i przedstawia prefektowi i gościom balowym. Casanowa oczarowuje wszystkich, gra w karty i wygrywa ogromne sumy. Potem namawia Caton, aby uciekła z nim. Ona się zgadza. Zabierają więc wszystkie kosztowności i zmykają. Akt się kończy przerażeniem prefekta, gdy się dowiaduje, że główny jego więzień nietylko uciekł, ale nadto go okradł i zabrał mu jego ukochaną.

W trzecim akcie jesteśmy w Warszawie na dworze Stanisława Augusta. Caton została metresą hr. Branickiego i z tego powodu ma się odbyć pojedynek między Branickim, a Casanową. W pojedynku Branicki jest ranny, a Casanowa zostawia mu Caton i opuszcza Polskę na dalszą tułaczkę.

Muzyka nadzwyczaj efektowna i zdradza rękę, która włada doskonałą techniką. Nazwisko Różyckiego, autora „Erosa i Psyche" dziś już wieńczą laury.

Dygas w roli tytułowej jest wprost świetny, a Czapska w roli Caton zpalazła swą najlepszą partyę. *Ludwik Masłowski.*



Budowa domu Akademickiego w Warszawie: Minister Głąbiński zwiedza budowę, obok niego b. premier p. Ponikowski pod parasolem i przedstawiciele Sejmu i prasy. W głębi grupa akademików przy pracy.



Budowa domu Akademickiego w Warszawie: Po zwiedzeniu budowy domu. Goście przy wyjściu otoczeni zostali przez robotników sznurem i musieli się wykupić. Na pierwszym planie minister Głąbiński zaglądający do swego pugilaresu.

Julian Krzewiński (Maszyński)

(Sylwetka artysty)

Pan Julian Krzewiński, autor libretto opery „Casanowa" jest jedną z najpopularniejszych postaci w naszym świecie artystycznym. Jest on synem synem Piotra Maszyńskiego zaszczytnie znanego muzyka i kierownika chórów w Warszawie, a bratem malarza, zarazem aktora dramatycznego Maryusza Maszyńskiego.



Nowa Opera Polska: Julian Krzewiński Maszyński, autor libretta nowej opery, powieściopisarz i artysta dramatyczny.

Należy więc do rodziny bardzo artystycznej. Od młodości rozpoczął pisać utwory sceniczne, powieści. Z najbardziej znanych i uwieńczonych ogólnym aplauzem są jego utwory: „W niewoli ziemi“, „Z dziejów tęsknoty“, „Dajmon“ „121, 122 i 123“, a bardzo wielkiem powodzeniem cieszy się jago operetka „Major ułanów“ do której libretto i muzykę sam skomponował. Główną postać w tej jego operetce kreowała warszawska primadonna liryczna Kazimiera Horbowska. Operetka ta obiegła wszystkie operetkowe sceny w Polsce i wszędzie miała szereg sukcesów.

P. Krzewiński nietylko komponuje muzykę i pisze powieści, ale także jest artystą scenicznym. Razem z Węgrzynem studyował sztukę dramatyczną w słynnej swego czasu szkole aktorskiej Gabryeli Zapolskiej w Krakowie. A po jej ukończeniu pracował w Teatrze „Nowości“. Jest to talent wielki, niesłychanie wszechstronny, fantazya ogromnie bogata, pracowitość niepospolita. Znużony wytężającą pracą nad „Casanową“ wyjeżdża teraz na odpoczynek do Spały, zaproszony przez prezydenta Rzeczypospolitej. *Ludwik Masłowski.*



30-letni jubileusz artysty: Ignacy Berski, w „Królowej przedmieścia“ i „Ślubach Dębnickich“.

30-letni Jubileusz wybitnego artysty.

W poniedziałek, dnia 25 bm. odbyła się na scenie teatru „Bagatela“ uroczystość jubileuszowa znanego artysty krakowskiego, p. Ignacego Berskiego. Jubilat rozpoczął swą karyerę aktorską w Stanisławowie, gdzie debiutował w roli „charakterystycznej“ jako Kapka w komedyi Fredry „Odludki i poeta“.

W czasie dwuletniego pobytu w Stanisławowie należał do najbliższego grona tak znakomitych później artystów jak Mielewski, Wostrowski, Brydziński i in. – z których niewielu doczekało dzisiejszych czasów (Wostrowski i Mielewski zmarli w czasie wojny).

Losy Ignacego Berskiego są typową Odyseją polskiego artysty: tułaczka i bieda, wędrówka z miasta do miasta, laury i sarkanie splątane z częstszemi zawsze niż kwiecie — kolcami nędzy. Grał więc Jubilat w Poznaniu, tułał się po Rosyi, tułuł po prowincyi Królestwa, był w Łodzi i Kaliszu, Poznaniu i Krakowie, aż wreszcie osiadł na stałe we Lwowie, gdzie pracował do wybuchu wojny, tworząc pamiętną Lwowu kreacyę w „Porwaniu Sabinek“, w „Chorym z urojenia“, w „Zaczarowanem Kole“ (drwal) i t. d.

Zawierucha wojenna rzuciła go do Wiednia, skąd wrócił dopiero w 1917 r. do Krakowa. Od tego czasu stale pozostaje w naszym grodzie grając w teatrze powszechnym najpierw, a potem od r. 1919 — w teatrze Bagatela, którego jest jednym z najwybitniejszych artystów.

Na dzień swego jubileuszu artysta obrał „Dra Stieglitza“, sztukę, która tak wielkim (w znacznej mierze dzięki niemu) cieszyła się powodzeniem — a w której daje świetną kreacyę Starego Stieglitza.

Fotografia nasza przedstawią Jubilata w dwóch rolach popularnych sztuk K. Krumłowskiego.

Gościnne występy artystów stołecznych w Krakowie.

Pod koniec sezonu zjeżdżają do Krakowa zaproszeni na występy gościnne najwybitniejsi artyści stołeczni. Większość ich znana jest naszym bywalcom teatralnym. Panie Wysocka i Solska tutaj w Krakowie największe odnosiły tryumfy i zdobywały sławę sobie i krakowskiej scenie. Mniej znany, bo tylko z gościnnych występów ubiegłych lat — był p. Władysław Grabowski o swoistym, indywidualnym stylu gry, jeden z ulubieńców publiczności warszawskiej. Występował on w Bagateli w „Szkole Kokot“ w kapitalnej swej kreacyi starego hrabiego, oraz w „Raju zamkniętym“. Wraz z nim odwiedziła Kraków p. Mieczysława Ćwiklińska, przed kilku laty primadonna operetki warszawskiej, która tę operetkę porzuciła dla komedyi, z nieodżałowaną szkodą dla operetki a z wielką korzyścią dla komedyi i dla dramatu. Jest ona dziś jedną z najwybitniejszych artystek warszawskich dzięki swemu wdziękowi i subtelności gry scenicznej. Że słusznie jest ulubienicą publiczności warszawskiej mógł się o tem Kraków, który ją widział po raz pierwszy, a miejmy nadzieję, że nie ostatni, przekonać dowodnie.

W bieżącym tygodniu rozpoczął swe występy mistrz nad mistrze, największy z polskich aktorów Mieczysław Frenkiel. Nie pierwszy raz podziwia Kraków jego wielką grę. Był on i przed wojną — jako Tartuffe Molierowski. Był w roku zeszłym jako „Pan Geldhab“, „Pan Poseł“ i „Radca Wistowski“, obecnie przybył jako Profesor Akademii Sztuk Pięknych z Monachium „Kolega Cramton“, a ujrzymy go podobno i jako p. Jenjalkiewicza w „Wielkim człowieku do małych interesów“.



Gościnne występy M. Frenkla: Znakomity artysta sceny warszawskiej Mieczysław Frenkiel.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.



Gościnne występy artystów stołecznych: Władysław Grabowski, wybitny artysta warszawski występował w Bagateli w „Szkole kokot“ i w „Raju zamkniętym“.

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Irena Świątkówna (Wilno)



Janina Zawierska (Lwów)



Marya Krzatkowska (Poznań)

Kult piękna jest jednym z ważniejszych czynników w duchowym rozwoju ludzkości. Jego dziełem jest świat sztuki — artystyczny dorobek wieków. Ale sztuka jest tylko indywidualnem odbiciem i ujęciem piękna w naturze. Piękno to odnajdujemy i podziwiamy we wszystkich zjawiskach i tworach przyrody, a przedewszystkiem u królowej stworzenia — kobiety. Twarz kobieca — ten najwdzięczniejszy temat dla artystów, tworzących poematy malarskie, jest w naturze najbardziej bezpośrednim wyrazem piękna. Tutaj natura idzie w zawody ze sztuką. Dlatego też nie są pozbawione znaczenia artystycznego urządzane we wszystkich krajach i cieszące się ogromnem powodzeniem konkursy piękności dla kobiet. Takie konkursy, urządzone w Krakowie na kilku balach podczas ubiegłego karnawału, wzbudziły duże zainteresowanie, choć były tylko ograniczone do szczupłego grona uczestniczek zabawy. To zachęciło nas do ogłoszenia

KONKURSU NAJPIĘKNIEJSZYCH KOBIET W POLSCE



Zofja Adamkiewiczówna (Kraków)

Panie pragnące stanąć do tego konkursu zechcą przesłać pod adresem Redakcyi „Nowości Illustrowanych", Kraków ul. Kazimierza Wielkiego 95. swą **fotografię z własnoręcznym podpisem.** Do fotografii należy dołączyć wypełniony blankiet, który znajduje się na ostatniej stronie naszego pisma. (Fotografie nadesłane przez osoby trzecie nie będą uwzględnione). Nadsyłane fotografie będą oddane do oceny specyalnej komisyi artystycznej a ta zaopiniuje, które z nich zostaną zamieszczone w „Nowościach Illustrow.„ **w gronie najpiękniejszych kobiet.** Podobizny te będziemy zamieszczać w miarę ich napływania w każdym numerze. Po wyczerpaniu wszystkich nadesłanych fotografii, nastąpi **rozstrzygnięcie konkursu przez głosowanie Czytelników „Nowości Illustrowanych".** Będą **trzy nagrody** 1) roczna prenumerata „Nowości Illustrowanych", 2) półroczna i 3) kwartalna. Nadto wszystkie nagrodzone panie otrzymają **artystycznie wykonane dyplomy pamiątkowe.** — Termin głosowania i jego warunki podamy później, obecnie zaś zapraszamy panie do wzięcia udziału w konkursie i nadsyłania nam swych fotografii.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce

Upoważniam Redakcyę „Nowości Illustrowanych" do zamieszczenia mojej fotografii w dziale konkursowym

(Własnoręczny podpis): ....

Dokładny adres: Imię i nazwisko (wyraźnie) ....

Miasto (ostatnia stacya pocztowa) ....

Ulica .... Nr. ....

OGŁOSZENIA

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński

Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.